

Pismo to wychodzi
trzy razy w tygodniu
to jest: w Poniedziałek,
Środę i Piątek, o drugim
po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ść
Nrów wynosi Złp.
6 i przyjmuje się w
księgarni Czecha,
w handlach Kocha
i Schreibera.

ŚRODA 19 WRZEŚNIA

N^{ER} 7.

1838 ROKU.

ŚWIADEK Z BOSKIĘJ OPATRZNOŚCI. ZDARZENIE PRAWDZIWE.

Jednego poranku kocz pocztowy przejeżdżał szybko ciasne ulice małego miasteczka; w nim młody Anglik, strojnie ubrany, a na koźle służący w bogatej liberyi; gdy oto nagle jedno koło łamie się w tysiączne kawałki. — «Mylordzie!» rzekł służący przestraszony, «możesz raniony?» — Tłum ludu zbiegł się na miejsce wypadku, a tytuł lorda, dany obcemu, sprawił na nim wrażenie czarowne. Cisną się do Anglika z uzaszanowaniem i ciekawością, pełną życzliwości. Każdy mu ofiaruje swe usługi; a cudzoziemiec wdzięczny, dziękuje obecnym uśmiechem za przychyłność, którą mu okazują. Mało się potłukł, a głos jego, gdy mówił do ludu, był tylko trochę zmienionym. — «Ten mylord, jakiś człowiek grzeczny i przystojny,» rzekła jedna niewiasta. — «To prawda,» rzekł

stary wyrobnik, «lecz jakże niemiłosiernie kalęczy francuzczyznę!» — «Ej, u licha! To rzecz bardzo naturalna; toćto lord!... Anglik... — Daje po trzy franki postylionom!» rzekł woźnica scicha. — «Ma cztery miliony dochodu!» dodał nadęcie *groom*; a ludzie powtarzają: «Ej, u licha! to bardzo rzecz naturalna, to lord! Cztery miliony dochodu!» — Jednak mimo to wszystko, kocz całkiem pogruchotany, wymagał długiej naprawy. Cały dzień roboty ledwie wystarczy, by go uczynić przydatnym do dalszej podróży. — Anglik widocznie tém zmartwiony, widzi się zmuszonym spędzić może 24 godzin w tém gnieździe; co za przykry wypadek dla niego! Nieukontentowanie i gniew widać na jego twarzy; lecz w podobnych okolicznościach największą enotą cierpliwość. Anglik przybiera twarz wypogodzoną. Prowadzą go do najlepszej oberży i największe otaczają go względy. Zastawiono

mu najdoborniejsze śniadanie i zdawał się niém być zadowolonym. — «Mości panie,» rzekł do oberżysty akcentem zamorskim, »co macie godnego widzenia w tém miasteczku?» — «Nic mylordzie, nie ciekawego.» — «Jakto! niéma tu ani spacerów, ani teatru, ani ruin? żadnego pomnika starożytności? ja lubię gotyckie...» — «Nié mamy nic mylordzie, nie pięknego.» — «To nudno; *God dam!* mości gospodarzu, to wielce nieprzyjemnie! «rzekł obcy, ziewając na całą gębę i rościągając się na sofie. — Potém po kilku chwilach milezenia, zwróciwszy się do gospodarza, rzecze z zamrużonemi oczyma: »Dwadzieścia cztery godzin! to wieczność. Cóż robić w tym przeciągu czasu?» — «Mylordzie! śniadanie.» — «Jużem nie głodny.» — «Ależ, mylordzie!...» — «Nudzę się.» — «Już!...» — »Tak jest; mocno się nudzę!» — »Mylordzie, tu jest kościół...» — »Katolicki?...jam protestant.» — »Podprefekt...» — «To nie zabawnego.» — «Sąd przysięgłych... trybunał...» — «O, o! macieź szubienicę?» — «Mylordzie, to nie jest zwyczajem u nas.» — »Tém gorzej!» — «U nas ścinają.» — «O, to precudnie! czy

ścinają dziś kogo?» — «Mylordzie, to się u nas rzadko zdarza, Bogu dzięki! Tymczasem zdaje się, iż tak zwany Jakób Mathieu będzie skazanym na śmierć dziś rano, a w tym przypadku wkrótce...» — «A to przedziwnie! lecz cóż mi potém, ja zapewne już wtedy odjadę. Cóż on zrobił, ten pan Jakób?» — «Zabił człowieka zeszlęj wiosny w lesie Talaberskim; czyn jest dowiedziony.» — «Dowiedziony, o! I ten pan Jakób zabił człowieka! sam jeden?» — «Nie, miał towarzysza; drugi zbójca mu pomagał, lecz nie powiodło się schwytać tylko Jakóba Mathieu.» — «Któż był współwinowajcą?» — «Nie wiadomo.» — «A kiedyż będziecie mieli wyrok?» — «Tego ranka, mylordzie; miasto się tém żywo zajmuje.» — «A gdybym téż ja poszedł popatrzeć się na Jakóba, możeby mnie to zabawiło?» — »On ma dziką postać, mylordzie!» — «O! mą dziką postać?...» — «Tu znowu głosem przeciągłym zaczyna ziewać Anglik; nareście powstaje z sofy, bierze gospodarza za ramię i głosem roskazującym mówi: «Do trybunału, a prędko!» — Trybunał już był w zupełnej czynności, mnóstwo ludu zawałiło wszystkie przystę-

py, z wielką tylko trudnością mógł się przecisnąć cudzoziemiec. Jednakże, gdy się pogłoska rozeszła, iż jakiś lord, przybywszy z Londynu, życzyłby sobie być przytomnym osądzeniu J. Mathieu; zostały rozkazy wydane, ażeby lord był przyzwoicie umieszczonym. — Anglik, usiadłszy na wzniesioném krześle, panował nad całym zgromadzeniem. Proces był już ukończony; żaden świadek nie stawał w obronę oskarżonego; wyrok śmierci na J. Mathieu zdawał się już być pewnym; dowody były obciążające, niezaprzeczne. — Aż oto morderca jeszcze raz powstaje i głos zabiéra: «Sędziowie! bądźcie sprawiedliwi, słuchajcie mię: Wszystkie pozory oskarżają mię, to prawda, a jednak świadezę się **BOGIEM**, że jestem niewinnym; téj saméj bowiém godziny, kiedy podług oskarżenia miał zabić nieszczęsnego starca, abym jego złoto zabrał, byłem w porcie Kaletu; pracowałem tam jako wyrobnik; rozmaici podróżni powierzali mi do ładowania na statek towary kosztowne; miałem u nich wiarę i zarobek.» To mówiąc zwraca oczy na lorda, zaczyna drżać, wydaje krzyk zadziwienia i płacze z radości. — Cóż mu się

wydarzyło? dla czegoż ta odmiana? ten płacz i radość? Oskarżony wznosi wzrok ku niebu, jakby je chciał brać za świadka swéj niewinności. — «Ah, mój Boże! mój wielki Boże! Tyś cudowny! Tyś miłosierny! Tyś niepojęty w swéj dobroci! On tu! on przedemną! jestem ocalony! Niewinność moja dowiedziona!» — Całe zgromadzenie w zadziwieniu. Sędziowie nie wiedzą, co to ma znaczyć. Anglik siedział jak słup i był obojętny. Policzki winowajcy są zroszone łzami, oczy się iskrzą, ręce składają się do modlitwy, cały jest przejęty uczuciem niewymownej, niespodzianéj radości; słuchacze zdają się oczekiwać wypadku nadnaturalnego i są wszysey wzruszeni. — Prezydent mówi do Jakóba: «Cóż tobie jest? cóż cheesz mówić?» — »Świadek z Boskiéj Opatrzności!» rzekł Mathieu, prawie odchodząc od zmysłów; «świadek z nieba zesłany!» to mówiąc, wskazywał na Anglika. — Wszy stkich oczy zwróciły się ciekawie na cudzoziemca, który oziębły, znudzony, nieruchomy, zdawał się nie rozumieć słów oskarżonego. Lord był na pół śpiący, słuchał nierozumiejąc, milczał,

lorynetował, ziewał. — «Mylordzie! mylordzie!» wykrzyknął Jakób, «przez litość! patrz na twarz moję; czy nie poznajesz jej?» — «Ja!» odpowiedział Anglik oziębłym głosem, zwracając lorynetę na oskarżonego; «ja!... uważać twarz twoję? Dla czego?... Ja nie znam go weale. — «O mylordzie! przypatrz mi się dobrze;» odrzekł Jakób głosem przenikającym i wyciągając kciukiem swe błagające ramiona; »przypomnij sobie! ostatniej wiosny podróżowałeś s Francyi do Anglii; przewoziłeś się s Kalletu do Dowru; byłoto w niedzielę; mylordzie, powinienbyś sobie to przypomnieć. Dałeś mi kufer do przeniesienia na statek, którym płynąłeś. Ja go wzięłem, a ty za mną szedłeś. O mylordzie! ja cię poznaję.» — «Prawda jest,» rzekł Anglik osłupiały, lecz zawsze zachowując minę lodowatą, »prawda jest, na wiosnę byłem w Dowrze; przebywałem morze w niedzielę.» — Na te słowa wykrzyk powszechny dał się słyszeć w zgromadzeniu. Wszystkich serca wzruszone, wszystkich oddech wstrzymany; nadzieja, zapal i trwoga obejmują tłum kolejno. Jakób nie przeraża wstrę-

tem; zdanie się zmienia; Jakób zajmuje. Wzruszenie jest elektryczne, sędziowie ruszają się na swych krzesłach, a ogień zdaje się przebiegać i zapalać zgromadzenie. — «Mylordzie,» mówi dalej oskarżony, «jedno słowo! bądź łaskaw, jedno słowo jeszcze! Odezwałeś się do mnie stém pytaniem: Francózie, czyś żonaty?» — «Prawda jest,» odpowiedział Anglik, «pytałem się tak jakiegoś człowieka.» — «Mylordzie! a jakaż była moja odpowiedź? przypominasz je sobie?» — «O zapewne! osoba ta odpowiedziała: Mam żonę i dwie córki, a chłopiec jeden zginął mi na ospę, pomimo dobrego skutku szczepienia.» — Wybuch zdziwienia i wykrzyk radości stłumiły ostatnie wyrazy. Jakób był żonatym, miał dwie córki i chłopca, a całe miasto widziało o tém; Jakób stracił syna na ospę. — O! cóżto za chwila dla obżałowanego. Łzy stłumiły słowa jego: «Dokończ, mylordzie!» wołał obżałowany głosem serce rozdzierającym, «powiedz dzień, godzinę!» — Anglik słuchał go spokojnie, żadne wzruszenie nie okazało się w jego nieczułych oczach, żadna zmiana w twarzy,

a myśli jego, pośród pytania, od którego zawisłe były śmierć lub życie człowieka, działały tak nieczule, tak oziębłe, jak gdyby to szło o najzwyczajniejszą rzecz w świecie, o rzecz najmnieję zajmującą; jakby to był zakład, walka kogutów, lub gonitwa koni. — «Mylordzie,» powtarza oskarżony; «o, powiedz dzień! powiedz godzinę!» — «Ten dzień,» odpowiedział nakoniec po kilku chwilach zastanowienia, «ten dzień... byłoto 15 kwietnia, a godzina o zachodzie słońca.» — Na to wyznane podnoszą się tłumnie słuchacze; tysięczne oklaski zabrzmiały. Zamięszanie, rozruch dochodzi stopnia najwyższego. Jestto szal, jestto bachanalia! Zabójstwo, o które Jakóba Mathieu obwiniono, wykonaném było w niedzielę, o zachodzie słońca, a J. Mathieu był téjże saméj chwili o mil kilkanaście; to *Alibi* zostało udowodnioném. Ręka Boska okazuje się widocznie. — Powóz cudzoziemca został zgruchotanym w chwili, gdy niewinność miała być potępioną wyrokiem śmierci; szlachetny Anglik był popchniętym ręką niewidomą na posiedzenie trybunału, ażeby wybawić ojca rodziny

od hańby i kary śmierci. Ah, to jest posłaniec Boga, to świadek Opatrzności! — J. Mathieu został uznany za niewinnego; wyrok uwolnienia jego przyjęto okrzykiem jednogłośnym. — Anglika odprowadzono w tryumfie! jestto narzędzie boskie, oto wybawca niewinności! — Świadek Opatrzności wsiada tegóż wieczora do naprawionego pojazdu, i oddala się śród okrzyków i błogosławieństwa ludu z żalem całego tego miasteczka.

* * *

W sześć miesięcy po tym rzadkim i osobliwym wypadku, zostało nowe zabójstwo w lesie Talaberskim popełnione — a dwaj zabójcy, schwytani spuginałami w ręku, obciążeni złotem, wydartém swéj ofierze, byli wiedzeni przez żandarmów ku przyległemu miasteczku, gdzie się przed pół rokiem zesłaniec sędzi Najwyższego przypadkowo zatrzymał. Tłum, zbiegły dla oglądania zbójców, wydaje krzyk nagły: Co za zjawienie! o dziwie! Jeden z zabójców był Jakób, a drugi z nim skuty było — mniemany Anglik i lord, nazwany świadkiem Opatrzności!

DUCH POGRZĘBANEGO.

LEGENDA GMINNA.

Szedł drogą do miasta żak ubogi, i spotkał pod murami bramy ciało zmarłego człowieka, niepogrzebione, potrącane nogą przechodniów. Nie wiele miał w miešku, ale dał s chęcią na pogrzeb, by nań niepluto i nierzucano kije. Pomodlił się nad świeżo wysypiano mogiłą, i poszedł dalej w świat wędrować.—W dębowym lesie sen go umorzył; a gdy się zbudził, s podziwem zobaczył pełne kieszenie złota. Dziękował niewidomój dobroczynnej ręce, i przyszedł nad wielką rzekę, gdzie się przeprowiać potrzeba było. Dwaj przewoźnicy ujrawszy pełne kieszenie złota, wzięli go w łódkę, i na samym wirze, odebrawszy złoto, utopili. — Gdy bez przytomnego unosiły wały, przypadkiem pochwycił deskę, i, za jój pomocą, wypłynął na brzeg szczęśliwie. Niebyłato deska, ale duch pogrzebanego, i temi doń przemówił słowy. — «Uzcileś zwłoki moje pogrzebem; dziękuję ci za to! Na znak wdzięczności, nauczę cię jak przemienić się można w wronę.» Tu go nauczył zaklęcia. «Oto masz list do mego rodzzonego brata; on cię nauczy

przedziérzgnięcia w zająca i sarnę.» — Żak nauczony zaklęć, złatwością mógł się przemienić we wronę, zająca i sarnę. Wędrował długo, wędrował daleko, aż przywędrował na dwór możnego króla, gdzie został strzelcem nadwornym. Król ten miał córkę nadobną; ale ta mieszkała na wyspie niedostępnej i zewsząd oblaniej morzem. Mieszkała w miedzianym Zamku, a miecz miała taki, że kto nim machnął, największe wojska zwyciężał. Właśnie nieprzyjaciele naszli granicę onego króla: zapotrzebował i zapragnął zwycięzkiego miecza! Lecz jakże go otrzymać, gdy nikt się dotąd jeszcze nie dostał na wyspę samotną! — Ogłosił przeto, że ktokolwiek miecz zwycięzki od królewnej przyniesie, nie tylko, że jój rękę otrzyma, ale i tron po nim osiedzie. — Nikt niebył tak śmiały; aż żak wędrowny, a teraz strzelec nadworny, staje przed królem, o świadcza gotowość, prosi o pismo, by na ten znak królowna oręż wydała.—Zdziwili się wszyscy, a król powierzył mu pismo do swój córki. Poszedł do lasu, niewiedząc wcale, że drugi strzelec nadworny za tropami jego śledzi. — Zrobił się naprzód zają-

cem, a potem sarną, i leciał prędko i żwawo: ubiegł drogi już niemało, aż nad brzegiem morza staje. Wtedy zamiénił się w wronę, i przeléciał wody morza, a niespoczał aż na wyspie. — Wszedł do Zamku miedzianego; pięknej królownie oddaje pismo od ojca, i prosi, by mu miecz zwycięzki dała. — Piękna królowna na strzelca patrzy. Ujął jój serce od razu. Pyta ciekawie, jakim sposobem mógł się dostać do jój zamku, co oblaný zewsząd wodą, stopy ludzkiej niedowidział? — Wtedy strzelec opowiedział, że znał tajemne zaklęcia, którými zmiénić się może w sarnę, zająca i wronę. Piękna królowna prosi więc strzelca, by się w jój oczach zamiénił w sarnę. A gdy się zrobił wysmukłą sarną i poczał łasić i skakać, królowna skrycie z samego grzbietu wycięła mu kosmyk sierci. Kiedy w zająca zmiénił się znowu, s podniesionými słuchami skakał, królowna skrycie z samego grzbietu wycięła mu sierci trochę. Aż gdy się zrobił i czarną wroną, zaczął podlatać w komnacie, ze skrzydeł ptaka skrycie królowna wyrwała po kilka piórek. — Wnet napisała pismo do ojca, i oddała miecz zwycięzki. Zak młody wro-

na przeleciał morze, biégł potem sarną niemało drogi, aż blisko lasu zającem skacze. — Zdradliwy strzelec już tam czatował, widział kiedy się zmiénił w zająca, i poznał teraz. Naciągnął łuku, wypuścił strzałę — zabił zająca. Wyjął mu pismo i miecz odebrał: poszedł do Zamku; królowi pismo i miecz oddaje zwycięzki, lecz zarazem dopełnienia obietnicy danój żąda. — Król radością uniesiony, wraz przyrzéka rękę córki; wsiadł na konia, i s tym mieczem przeciw wrogom jedzie śmiało. Ledwie dójrzał ich sztandary, machnął silnie kilka razy a na cztery strony świata. Za każdym zamachem miecza, szeregi wrogów trupem upadły; a drugie trwogą przejęte, jak zające uciekały. — Wraca wesół ze zdobyczą, i sprowadza piękną córkę, by strzelcowi, co miecz przyniósł, oddał za małżonkę. — Sprawiono ucztę. Już brzmia grajkowie, cały zamek świeci jasno. Lecz królowna zasmucona siedzi obok strzelca zbójcy; poznała zaraz, że nie ten weale, którego widziała w Zamku, ale nieśmiała ojca zapytać, gdzie tamten dorodny strzelec; płakała jéno wiele a skrycie, do tamtego serce biło. — A on żak biédny, w zajęcej

skórcie, leżał zabity pod dębem, leżał rok cały. Aż jednej nocy czuje się zbudzon ze snu mocnego. I staje przed nim on duch znajomy, którego ciało pogrzebał. Ten mu przygody jego powiedział, wrócił do życia, i mówi: — «Jutro królewnej już zaślubiny: spiesz więc do Zamku co prędzej; ona cię pozna, pozna i strzelec, co ciebie zabił zdradziecko.» — Młodzieniec zerwał się żywo; idzie do Zamku z bijącym sercem, wchodzi do wielkiej komnaty, gdzie liczni goście jedli i pili. Piękna królowna wnet go poznała: krzyczy z radością i mgleje; a strzelec zbójca, skoro go dójrzał, zbladł ze strachu i zzieleniał. — Wtedy młodzian opowiedział zdradę strzelca i morderstwo; a, by słowom dał świadectwo, wobec wszystkich zgromadzonych, zrobił się wysmukłą sarną, i królownie począł łąsić. Ta, sierć, mu uciętą w Zamku, na grzbiet sarny przyłożyła, a sierć zaraz przyrosła. Znów zamiénił się w zająca, i podobnie sierć uciętą, którą schowała królowna, za dotknięciem, wnet przyrosła. Wszysey patrzą podziwieni, aż się młodzian zro-

bił wroną. Królowna dobyte piórek, co z skrzydeł w Zamku wyrwała, a piórka zaraz porosły. — W on czas stary król rozkazał, aby strzelca zbójcę stracić. Wywiedziono cztery konie. A były to wszystkie dzikie. Przywiązano ręce i nogi, popędzono biczem konie; a te, za jednym poskokiem, rozszarpały zdrajcę strzelca. — Młodzieniec otrzymał rękę młodziej i gładkiej królewnej. Cały zamek jaśniał świetno: pili, jedli z wesołością; a królowna nieplakała, bo jak chciała tego miała!

Kupieckie ocenie artysty.

Pewien Anglik przyszedł nie dawno do jednego spierwszych malarzy w Paryżu s prośbą, aby w jego imionniku odrysował mu konia. Artysta uczynił zadość jego żądaniu. «Wieleż się za to należy?» zapytał Anglik. — »Dwadzieścia dukatów.» — «Jako, dwadzieścia dukatów... czy to być może, wszakże waćpan ledwo dwadzieścia minut nad tém pracowałeś?» — «Mylisz się mój panie,» odpowiedział artysta; «lat ja dwadzieścia pracowałem, za nim się tego konia rysować nauczyłem.»